

## **Długo żył w grzechu**

Jak sam mówi, największym grzechem jego życia było nakłonienie jego śp. żony do zabicia ich dziecka, tj. do aborcji. Wcześniej wielkim błędem było życie w związku niesakramentalnym przez 22 lata. Dziś jego oczy są już otwarte na Boga i jak może stara się naprawić zło, jakiego dokonał w życiu.

- Zastanawiam się, dlaczego tyle zła popełniłem w moim życiu - rozpoczyna swoje świadectwo pan Jerzy i dodaje: - Może właśnie dlatego, abym dziś - bardzo żałując tych uczynków - mógł ostrzec innych, by dać temu świadectwo.

Żyjąc w związku niesakramentalnym, krzywdziłem- przez tak długi czas- moją partnerkę, która tak bardzo pragnęła ze mną ślubu.

## **Aborcja**

Kiedy pan Jerzy miał nieco ponad dwadzieścia lat po raz drugi został ojcem. Jego dziecko jednak nie przyszło na świat. - Moja dziewczyna chciała urodzić to dzieciątko, ale ja ją mocno naciskałem. Chciałem być wolny. Zgodziła się, poszła do lekarza, a ja zostałem w samochodzie. Wróciła po wszystkim strasznie roztrzęsiona, a ja zapytałem ją jak wyglądało nasze dziecko, czy to był chłopiec czy dziewczynka. Moja dziewczyna powiedziała mi, że nie wie, bo lekarz szybko wyrzucił je do ścieków – opowiada mężczyzna, wyjaśniając, że po tym morderstwie ich życie stało się inne, ich miłość stała się trudna. - Ciągłe obwinialiśmy się za to, co się wydarzyło tamtego dnia - podkreśla pan Jerzy.

## **Komplikacje**

Żyli razem bez ślubu, a na świat przychodziły kolejne dzieci. Trzecie dziecko dwa dni po narodzinach zmarło. - W początkowym okresie czwartej i ostatniej ciąży u Renaty nastąpiły poważne komplikacje i bardzo duże zagrożenie utraty życia dziecka w wyniku możliwości wczesnego porodu.

Już od drugiego miesiąca ciąży i przez następne kilka miesięcy przebywała w szpitalach na tzw. podtrzymaniu, ogromnie przy tym cierpiąc - wspomina mężczyzna.

W 28 tygodniu ciąży nastąpiła gwałtowna akcja porodowa wraz z nie dającym się zatamować poporodowym krwotokiem.

- Kiedy wszystkie nasze obawy o życie skierowane były na ratowanie życia dziecka, nagle okazało się , że również życie Renaty jest w olbrzymim niebezpieczeństwie... O tym, aby być gotowym na najgorsze, zakomunikował lekarz, uczestniczący bezpośrednio w ratowaniu jej życia. Kiedy możliwości ratowania życia na tym oddziale wyczerpały się, przewieziono ją do innego szpitala- na oddział intensywnej terapii - ze łzami w oczach mówi pan Jerzy.

Gdy mężczyzna wraz z synem, w ogromnym niepokoju, oczekiwał za ścianą sali, w której ratowano życie jego ukochanej, skontaktował się z lekarzem innego szpitala. Ten powiedział mu, aby- dla swojego dobra- opuścili szpital, gdyż widok umierającej osoby jest ogromnym szokiem dla najbliższych. Oni jednak zostali. Wciąż mieli nadzieję...

- Widzieliśmy z synem jak dowożono krew, której brakowało i po którą jeżdżono do innego województwa .

Podczas kolejnej rozmowy z ordynatorem oddziału, który bezpośrednio uczestniczył w ratowaniu życia Renaty, ten wypowiedział słowa, których nie zapomnę do końca mych dni: "nie ma już sensu przedłużać tej uporczywej terapii". Po tych słowach coś we mnie pękło. Rozplakałem się jak dziecko. Prawda, że byłem gotów na najgorsze informacje. Ale nie na to, że lekarze zechcą zaprzestać ratowania jej życia - opowiada mężczyzna.

## **Żona**

- Błagałem ordynatora, aby ją ratowano i opowiedziałem mu, że żyłem z nią bez ślubu, którego ona tak bardzo pragnęła. I że jeśli umrze, to nigdy jej nie dam tego, o czym marzyła. A ja już nie będę mógł żyć z tą świadomością... Mówiłem mu, że zrobię wszystko, co tylko potrzeba, by im pomóc w ratowaniu życia mojej partnerki. Zadeklarowałem, że zorganizuję błyskawicznie zbiórkę krwi i że jestem przekonany, że krew będzie.

Zorganizowaliśmy akcję zbierania krwi. Odzew mieszkańców miasta, w którym mieszkamy, był ogromny. Setki ludzi, poruszonych tragedią, oddawało krew dla ratowania ludzkiego życia...Używałem wszelkich znanych mi argumentów, aby przekonać ordynatora o niezaprzestawianiu akcji ratowania jej życia, mimo tego, że stwierdzono - jako przyczynę krwotoku - infekcję bakteryjną, zwaną sepsą a 95 procent przypadków tej choroby jest śmiertelnych - mówi pan

Jerzy, dodając: - Dziś nie wiem co sprawiło w tym człowieku tę nagłą przemianę. Nie zaprzestał ratowania życia mej partnerki. Robił wszystko, co w jego mocy, by szczęśliwie wyzdrowiała.

Po ustaniu krwotoku, następowały kolejne poważne komplikacje i nieustające zagrożenia życia. Ordynator sprowadzał- do kolejnych operacji- najlepszych profesorów, najlepsze leki, by pomóc kobiecie. A nawet osobiście woził ją na salę operacyjną do kolejnych badań czy poważnych operacji. Pielęgniarki mówiły, że nie wiedzą, co się z ich szefem stało, że się tak zaangażował. Że to do niego nie podobne.

- Efektem tych działań był coraz lepszy stan zdrowotny Reni. W związku z tym postanowiliśmy wziąć ślub. Właśnie tam - na oddziale intensywnej terapii. Za zgodą tego samego ordynatora, który ratował jej życie. I który zgodził się na obecność kilku osób. Który udostępnił wolną salę na oddziale intensywnej terapii. Który przyzwolił na przeprowadzenie przez księdza cudownej ceremonii ślubnej. Uczestniczyło w niej wiele pielęgniarek i lekarzy, którzy ratowali życie mej żony. 22 lata żyliśmy w grzechu bez ślubu. 22 dni żyliśmy szczęśliwi po ślubie. Żona zmarła w najmniej oczekiwanym momencie, kiedy jej stan bardzo

się poprawił i wymagał już tylko "podstawowej opieki". Dziecko, które nosiła żyje. A ja zmieniłem swoje życie, zrozumiałem swoje błędy i chcę je odpokutować. Dziś daję to świadectwo, bo mam nadzieję, że przeczyta je ktoś, kto może myśleć o zabiciu swojego dziecka. Nie róbcie tego, bo grzech aborcji niszczy człowieka, niszczy psychikę, tych którzy tego dokonują, niszczy miłość.

Pan Jerzy podkreśla, że kiedy jego śp. żona i synek byli w śmiertelnym zagrożeniu życia, wraz ze starszym synem modlił się o ich uzdrowienie. - Zamawialiśmy Msze Św. w intencji ich uzdrowienia. Podczas dwu i pół miesięcznego czasu ratowania ich życia codziennie byliśmy na Mszy św. Zdarzyło nam się uczestniczyć nawet 4 -krotnie w ciągu jednego dnia. Pocieszał nas i był z nami w najtrudniejszych chwilach wspomniały ksiądz Piotr, któremu będę na zawsze wdzięczny. Mówił nam, że "Pan nie daje nigdy dwóch krzyży na raz". Tak też się stało - żona odeszła, synek żyje.

Błagałem w modlitwach Pana Boga, żeby zachował przy życiu żonę i synka. Obiecałem, że już zawsze będę Mu wierny. Żona zmarła. Pochowałem ją w prześlicznej ślubnej sukience. Mimo iż odeszła i stało się inaczej niż ja chciałem, wiem, że od Boga otrzymujemy jedynie dobro. Przypomina mi o tym radość naszego małego synka. A ja i tak wierności dochowałem i dochowam. ( Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący i wszyscy Święci)

Synek urodził się w 28 tygodniu ciąży, drogą cięcia cesarskiego. Ważył 1350 g. Był w bardzo ciężkim stanie. Otrzymał zaledwie 1 pkt w skali Apgar. W karcie szpitalnej zapisano: "wiotki, siny, bez oddechu z bardzo wolną akcją serca". Oddychać zaczął 3 minuty po urodzeniu a dopiero w 10 minucie życia zaczęły funkcjonować pozostałe organy. Stwierdzono dokomorowy wylew do mózgu I i II stopnia i obecność bakterii Morganella morgani (tych samych, które były przyczyną śmierci żony). Po informacji od lekarzy o jego zagrożonym życiu natychmiast sprowadziliśmy księdza, który ochrzcił synka w szpitalu.

Według opinii lekarzy, tak ciężki stan synka mógł oznaczać dla niego śmierć lub trwałe inwalidztwo.

Dziś chłopiec ma 4 latka i 3 miesiące, jest zdrowy, wspaniały i radosny. Wiem, że to, że synek żyje i jest w pełni sprawny, to wielka łaska od Pana Boga. Powiem więcej - to CUD! Mam wobec Pana Boga dług i będę go spłacał - dopóki wystarczy mi siła.